

JAK IM PRZEBACZYĆ ?

Zbrodnie i gwałty towarzyszyły wkroczeniu Sowietów na Kresy Wschodnie we wrześniu 1939 roku. Dopuszczali się ich miejscowi dywersanci, starający się ułatwić zwycięski pochód Armii Czerwonej. Upłynęło wiele lat, a we mnie tkwią jeszcze echa tamtych zdarzeń. Chciałbym uwolnić się od nich, wyrzucić je z siebie, ale jak to zrobić? Próbowałem...

Autorytet moralny Polaków książdz kardynał Józef Glemp powiedział, że zadawane urazy i krzywdy, sięgające często czasów minionej wojny, trzeba przebaczać, jednak ta druga strona powinna wykazać skruchę i poprosić o przebaczenie.

Jak ja mam przebaczyć i zapomnieć o tragicznych przeżyciach skoro „ta druga strona” nie przejawiała do tej pory jakiegokolwiek skruchy?

Odnalazłem na Grodzieńszczyźnie kilku starych już i schorowanych morderców polskich osadników wojskowych. Odnalazłem także Aleksandra Nikołajewicza Kurpika, noszącego przezwisko Bazelik, który zamordował mojego ojca. Ludzie ci, wyzuci z wyższych wartości moralnych, nie posiadali w sobie tej wrażliwości jaką nazywamy sumieniem. Kiedy opuszczałem dom Kurpików 92-letni Bazelik, stojący za plecami syna, powiedział po polsku:

- Na bagniet Tomczyka!

Taki był teraz stan jego ducha. A wtedy? W dniu 22 września 1939 roku uzbrojeni Białorusini, z czerwonymi opaskami na rękawach cywilnych ubrań, wyprowadzili z domów bezbronných osadników, mieszkańców Lerypola i zamordowali ich na skraju osady. Tragicznie zginęli: Antoni Pawlikowski, Ignacy Zarębski, Jan Tomczyk, Tadeusz Śliwiński, Stanisław Barszcz, Tadeusz Górnicki, Władysław Górnicki, Jan Mazalewski, Paweł Mroczek, Jan Czyż i Jan Kraśnik.

Następnego dnia zakatowano siedmiu osadników z osady Budowla: Edwarda Nowaka, Bolesława Przerazińskiego, Jana Zawadzkiego, Stanisława Szubę, Piotra Krupę, Jana Jagielskiego i Władysława Janiszewskiego.

Morderstw dokonali długoletni konspiratorzy komunistyczni, członkowie byłej Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi (KPZB). Już 17 września utworzyli oni Sielski Komitet Rewolucyjny w pobliskiej wiosce Obuchowo. Komunistów wsparli zbrojnie pospoliccy kryminaliści, liczący na znaczne wzbogacenie się rabowanym mieniem osadników. Prymitywni ludobójcy byli bardzo okrutni i sadystyczni. Gdy dostrzegli drgawki konwulsyjne zabitego człowieka dobijali go z furją, aby nie ożył i nie uciekł, gdy opuszczą pobojowisko.

Ojciec mój miał rozplataną czaszkę, a mózg wylany do czapki, zaś dziewiętnastoletniemu Tadeuszowi Śliwińskiemu tak zmasakrowano głowę, że rozpoznano go tylko po ubraniu. Przeraziński miał rozpruty brzuch, a wnętrzności wylane na uda i kolana. Krupie obcięto czaszkę powyżej górnej szczęki. Masa, przypominająca mózg, leżała przy pobliskiej drodze. itp.

Ciała ofiar z Lerypola, owinięte w prześcieradła, złożono we wspólnym dole na skraju osady. Nie oglądałem z bliska tego pochówku. Panicznie bałem się zobaczyć zabitego ojca. Psychika siedmioletniego chłopca nie mogła pogodzić się z faktem, że ojciec nie żyje, a jego ciało mocno okaleczone jest zimne i martwe. Nie rozumiałem tego, co dzieje się ze mną. Nie rozumieli też dorośli, bo ktoś z nich ciągnął mnie siłą wołając:

- Chodź! Zobacz ostatni raz ojca, pożegnaj się z ojcem.

Wyrwałem się, szarpałem, kopałem i wrzeszcząc wniebogłosy chwytałem się krzaków i trawy. Wreszcie wyrwałem się i

uciekłem w ustronne miejsce, gdzie długi płacz rozładował napięcie wewnętrzne i uspokoił mnie trochę. Uratowałem wspomnienie ojca takie, jakim był, gdy brał mnie na kolana. Jednak w mojej psychice nastąpiło jakieś przeciążenie emocji, bo przez kilka następnych miesięcy nawiedzały mnie koszmarne sny. W snach przeżywałem sceny mordowania ojca i naszej całej rodziny. Było to tak silne, że nawet przy zapalonym świetle nie mogłem rozpoznać uspakajającej mnie mamy i powstrzymać płaczu.

Komunistyczni zwycięzcy nieustannie demonstrowali swoją obecność i rewolucyjną władzę. Nie tylko jawnie plądrowali i grabili domy osadników, ale też systematycznie profanowali miejsce pochówku swoich ofiar. Bywało tak, że jednego dnia gromadką dzieci przystroiliśmy mogiłą kwiatami z przydomowych ogródków, a nazajutrz znajdowaliśmy mogiłę zdeptaną, a kwiaty rozrzucone między otaczające krzaki.

Po pierwszej deportacji, gdy wywieziono na Sybir rodziny osadników, spilowano wysoki drewniany krzyż, a mogiłę skazano na zagładę i wieczne zapomnienie.

Jesienią 1939 roku, wraz z mamą i bratem Lucjanem, uciekliśmy do Kowla. Tu, w gęszczy polskiej ludności miejskiej, znaleźliśmy życzliwą pomoc i w miarę bezpieczne schronienie. Jednak ukrywanie się w mieście bez środków do życia, w nieustannej obawie przed aresztowaniem i deportacją, było bardzo uciążliwe.

Oprócz pospolitej biedy codziennie przeżywałem upokorzenia, gdy publicznie naśmiewano się z Polaki i Polaków, kiedy w gazetach zamieszczano ohydne karykatury generałów i dostojników państwowych, a żołdaci śpiewali:

- „Becki sprzedały Polsce...”

Niektóre dzieci na ulicy, przenosząc rozmowy i nastroje rodziców, zaczepiały mnie.

- Ty polskaja morda! Ja ciebie nożykom zarezu!

Mrok zwątpienia i rozpacz ogarniał nas coraz bardziej. Czasem nocą budził mnie tłumiony szloch mamy, wyczerpanej beznadziejną walką o przeżycie każdego dnia. Bardzo chciałem pomóc jej, pocieszyć, ale czego mógł dokonać mały, wymierzony chłopiec? Sowiecka brutalna przemoc nie dawała nam żadnych szans, nie znała litości, ani współczucia. Zapiekał się we mnie bunt przeciw tej krzywdzie jaka spotykała nas po najeździe Sowietów. Przysięgałem sobie, że kiedyś, jak przeżyję zły czas i będę silny, to upomnę się o sprawiedliwość, a może nawet sam ją wymierzę. Rozmyślenia o wyrównaniu rachunków za doznane krzywdy przynosiły mi pozory ulgi. Niektórzy dorośli, żyjący również pod dominacją sowieckiej przemocy, zachęcali mnie do odwetu.

- Nie wolno darować kacapom tego, co z nami wyrabiają. Zapłacą kiedyś za swoje zbrodnie. Ty też musisz pomścić ojca.

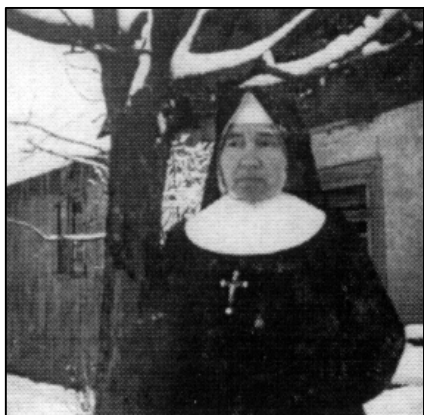
- Jak dorosnę, to pojedę do Grodna i Lerypola - odpowiadałem- zakatrupię Kurpika i Gołowkę, zakatrupię jeszcze innych.

Gdy oglądałem swoje wychudzone ciało i kończyny pozbawione prawie mięśni zaczynałem wątpić czy uda mi się kiedykolwiek dokonać odwetu. Zamiast rosnąć na silnego mężczyznę stawałem się coraz bardziej drobny, słaby i blade. Jedynie moja psychika dorastała w przyśpieszonym tempie. Myślałem coraz częściej jak dorosły, stawałem się coraz bardziej ostrożny, nieufny i podejrzliwy. Moje niefrasobliwe dzieciństwo, upływające w kręgu życzliwych ludzi, zakończyło się bezpowrotnie.

Przybywający ze wschodu sowieccy funkcjonariusze budzili we mnie specyficzną odrazę i lęk. Dopatrywałem się w wyrazach ich twarzy cech drapieżnego zwierzęcia, które w każdej chwili może zaatakować i uczynić krzywdę. Omijając ich z daleka zastanawiałem się zawsze, czy wiedzą już, że jesteśmy rodziną polskiego osadnika, legionisty i kiedy wywiozą nas na Sybir.

Z tak uformowaną psychiką przyszło mi wychodzić w wiek dorosły. Tylko dzięki wysokiej kulturze wychowawców i nauczycieli udało się naprawić coś z tego, co zepsuli we mnie inni ludzie.

W Kowlu spotkało mnie również coś bardzo pomyślnego, co poważnie zaważyło na rozwoju mojej osobowości. Spotkałem zakonnice wypędzoną przez Sowieców z zarekwirowanego klasztoru, która bezinteresownie uczyła polskie zaniedbane dzieci. Zakonnica, siostra Hildegarda, niestrudzenie krążyła po mieście wstępując do prywatnych mieszkań, w których gromadziły się nauczane przez nią dzieci.



Siostra Hildegarda

Tej wspaniałej osobie zawdzięczam wiele dobrego. Ona, jako pierwsza, zaczęła układać moją psychikę. Opowiedziałem siostrze o wydarzeniach w Lerypolu i Budowli, dodając, że jak dorosnę, pojedę tam i zabiję Bazelika oraz innych oprawców. Zakonnica była przerażona moją determinacją, próbowała wyjaśnić, na czym opiera się katolicka moralność. Mówiła, że zemsta i odwet są równie dużym złem, jak sama zbrodnia.

Meandry sprawiedliwości

Minął zły czas mojego dzieciństwa, byłem zdrowy i silny, żyłem w innej lepszej

cywilizacji. Wyzbyłem się marzeń o krwawym odwecie za wymordowanie osadników. Jednak pozostało coś we mnie z testamentu zmarnowanego dzieciństwa. Chyba głębokie przekonanie, że mój ojciec i inne ofiary bolszewickich terrorystów, zakopane bez trumien i obecności księdza, oczekują ode mnie przywrócenia im godności ludzkiej.

W latach dziewięćdziesiątych, wędrując ścieżkami zła przez wioski białoruskie, odnalazłem kilku żyjących jeszcze sprawców zbrodni i wielu świadków tamtych wydarzeń. Nikogo z nich nie zamierzałem „zakatrupić”, nawet Aleksandra Nikolajewicz Kurpika. Samo życie dostatecznie ich pokarało. Zrozumieli już, że bałamutna ideologia nienawiści, którą karmili ich sowieccy demagodzy, nie sprawdziła się w praktyce. Żyją w biedzie z goryczą zawodu. W imię czego przelewali krew niewinnych Polaków? Zamiast nagrody spotkało ich rozczarowanie i pogarda innych ludzi. Nie są rozmowni, denerwują się, milkną.

Kiedy oglądam ich nędzę i zakłopotanie wypełnia się we mnie jakaś pustka, noszona w duszy przez szereg lat. Oto ci, którzy byli panami naszego życia i śmierci, których baliśmy się tak bardzo, są teraz słabi, bezradni i nikomu nie potrzebni, jak stare znoszone łachmany. Kiedyś próbowali nas zniszczyć, wytepić i ... nie udało się im. Przeżyłem ich dominację, zdobyłem zawód, jestem potrzebny i żyję godnie. Z piekła wojny uratowało się wielu członków rodzin osadników. Wytrwała praca zbudowała sobie nowe, lepsze życie.

Chyba ta konfrontacja była mi bardzo potrzebna, bowiem w znacznym stopniu zaspokoila, zakodowane w dzieciństwie, pragnienie odwetu.

W 1993 roku złożyłem w Główniej Komisji Do Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu pismo w sprawie zbrodni dokonanej na osadnikach z Budowli i Lerypola, prosząc, aby sprawę skierowano do prokuratury białoruskiej. Po pewnym czasie

zostałem powiadomiony, że sprawa trafiła do Okręgowej Komisji w Białymostku i na życzenie prokuratora pana Monkiewicza zostanie przesłuchany w Warszawie. Zdziwiłem się trochę, że czas tracony jest na proceduralne formalności, które nie wniosą niczego nowego. Zadzwoiłem do pana Monkiewicza i wyraziłem swój pogląd.

Upłynęło sporo czasu. Ponownie zatelefonowałem do Białegostoku pytając o bieg sprawy. Odpowiedziano mi, że sprawa jest w toku, a komisja gromadzi stosowne materiały. Wyraziłem zdziwienie stwierdzając, że w swoim piśmie zestawilem z dużą pedanterią opis zbrodni, obecne adresy jej sprawców, a także adresy licznych świadków, żyjących na Grodzieńszczyźnie. W trakcie rozmowy wyraziłem opinię, że do rozprawy sądowej można doprowadzić dopóki żyją jeszcze nieliczni sprawcy i świadkowie. Natomiast działanie „statyczne” polegające na powolnym gromadzeniu w sejfach materiałów pomocniczych, szansę taką przekreśla.

Postanowiłem sam zająć się sprawą.

Prokuratura w Grodnie mieści się przy ulicy Dowatora 2a. Na parterze jest niewielki gabinet w którym załatwiane są trudne sprawy „minionego okresu”. Przychodzi tu starsi ludzie, by uzyskać pisemne potwierdzenie o latach przymusowej pracy w łagrach, lub o niesłusznych aresztowaniach.

W gabinecie przyjął mnie postawny mężczyzna o nazwisku Iwanow. Przedstawiłem się stopniem wojskowym i usiadłem przy biurku gospodarza gabinetu. Dwaj jego współpracownicy siedzący nad papierami przy swoich biurkach nie zwracali na mnie uwagi.

- Mam poważną sprawę - powiedziałem opanowując emocje - ale zgłoszenie jej uzależniam od tego jaką uzyskam informację na temat stosowania przez was prawa międzynarodowego. Mianowicie chciałem najpierw zapytać, czy tutejsza prokuratura stosuje w praktyce Konwencję o niestosowaniu

waniu przedawnienia wobec zbrodni wojennych i zbrodni wobec ludzkości, uchwaloną przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w dniu 26 listopada 1968 roku? Dodałem, że Związek Radziecki podpisał ją w imieniu wszystkich republik związkowych, natomiast Białoruś i Ukraina podpisały Konwencję jako samodzielni członkowie ONZ.

Moje pytanie wyraźnie zaskoczyło Iwanowa. Poprosił o powtórzenie brzmienia Konwencji. Po chwili zastanowienia wyjął z szuflady gruby brulion i wertował jego kartki. Odłożył brudnopis i zaczął grzebać w biurku. Przeglądał różne papiery, ale i tu nie znalazł nic odpowiedniego.

- A tak konkretnie, to o co wam chodzi? - zapytał wyraźnie zmęczony bezowocnym poszukiwaniem.

- Zapytałem tylko o stosowanie Konwencji. O ile nie jest stosowana, to nie będę wam zwracał głowy swoją sprawą.

- Musicie powiedzieć jaką macie sprawę, bo naprawdę nie wiem, o co tu chodzi. Iwanow odsunął papiery na skraj biurka i wyraźnie nie zdradzał ochoty do dalszych poszukiwań.

Wytworzyła się niezręczna sytuacja, w której decydujący ruch należał do mnie. Zdecydowałem się opowiedzieć o morderstwie osadników w Budowli i Lerypolu.

Okazało się, że pozostali dwaj mężczyźni, pochyleni nad swoimi biurkami, przysłuchiwali się uważnie mojej relacji, bo kiedy skończyłem jeden z nich pierwszy przerwał milczenie.

- To będzie trudna sprawa - stwierdził - w zamęcie wojennym ludzie załatwiali między sobą różne porachunki. Kto teraz dojdzie prawdy?

- To nie były porachunki, była to akcja ludobójstwa, zorganizowana przez Komitet Rewolucyjny z wioski Obuchowo. Ludzie, którzy dokonali zbrodni, nosili czerwone opaski na rękawach.

- Upłynęło już ponad 50 lat - zauważył Iwanow - na pewno nikt z winnych już nie żyje. Kogo tu sądzić?

- To prawda, że wielu wymarło, inni zginęli w czasie wojny - stwierdziłem - ale kilku z nich jeszcze żyje, a wśród nich zabójca mojego ojca Aleksander Nikołajewicz Kurpik.

Moi rozmówcy zamilkli na chwilę.

- To nie takie proste. Wiecie ile ten Kurpik ma lat? Na pewno jest człowiekiem schorowanym i niedołąnym. Jak takiego ciągać teraz po sądach?

- Oczywiście, mordowanie niewinnych

ludzi było wtedy łatwe i proste, natomiast dochodzenie teraz sprawiedliwości nie jest proste. Kurpik ma obecnie 92 lata. Zdaje sobie sprawę, że dla takiego człowieka kara 25 lat pozbawienia wolności byłaby parodią. Być może wykonanie wyroku śmierci byłoby dla niego i jego otoczenia pomyślnym rozwiązaniem wielu problemów. Nie zamierzam występować o karanie żyjących jeszcze sprawców zbrodni. Oczekiwać będą jedynie satysfakcji moralnej dla osób nie-

18.10.94 13/99-942

Республика Польша
02-661 Варшава
ул.Вита Ствоша 50 кв.36

полковнику-регистру-инженеру
Антони Томчику.

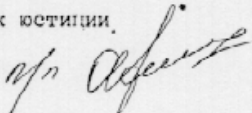
Уважаемый господин Томчик А.!

Прокуратурой Гродненской области проведена тщательная проверка изложенных в Вашем заявлении фактов, однако точную дату и конкретных виновных установить не представляется возможным, поскольку в тот период на территории Обуховского сельсовета каких-либо органов власти не существовало, архивы Республики Беларусь и области сведениями о погибших не располагают. Опрошенные жители деревень Обуховского сельского совета, в том числе и указанные в Вашем заявлении, информацию об убийстве и виновности конкретных лиц не подтверждают.

Прокуратурой Гродненской области в возбуждении уголовного дела по факту убийства Томчика Яна, Борща Станислава, Гурницького Станислава, Зарембского Игната и других - отказано.

И.о.прокурора Гродненской области
старший советник юстиции

А.И.Абрамович



Odpowiedź prokuratury w Grodnie z 18 października 1994 roku.

winnie pomordowanych i dla ich rodzin. Aby sąd orzekł, że dokonano zbrodni ludobójstwa, a Komitet Rewolucyjny w Obuchowie był organizacją zbrodniczą.

- To też nie będzie proste - stwierdził Iwanow - Komitet w Obuchowie działał w strukturze państwa radzieckiego, którego spadkobiercą jest Rosja. Nasza jurysdykcja nie może orzekać spraw, które dotyczą innego, suwerennego państwa.

- Jednak sprawcy zbrodni posiadają obywatelstwo białoruskie i mieszkają na obszarze waszej jurysdykcji - zauważyłem.

Po zakończeniu wymiany zdań Iwanow zachęcił mnie do złożenia wniosku na piśmie. Zazaczył przy tym, że o ile nie będę występował o karanie winnych, sprawa będzie łatwiejsza do przeprowadzenia.

Sporządziłem obszerny, szczegółowo opracowane pismo. Przyjaciele ze Związku Polaków Na Białorusi (ZPB) w Grodnie przetłumaczyli moje pismo na język rosyjski, uwierzytelnili jego treść pieczęciami i złożyli je w Obłastnoej Prokuraturze. Wiceprezes ZPB, pan Tadeusz Malewicz, zaopatrzone przeze mnie w pisemne pełnomocnictwo, rozpoczął pilotowanie sprawy.

Po kilku miesiącach razem z panem Malewiczem odwiedziłem prokuraturę. Przyjęto nas kurtuazyjnie, zapewniając, że prowadzone jest intensywne śledztwo i sprawa zbliża się do końca. Pełen optymizmu i wiary w niezawisłość wymiaru sprawiedliwości opuściłem budynek przy ulicy Dowatora 2a.

Jesienią 1994 roku prokurator A.I. Abramowicz powiadomił mnie pisemnie, że wniosek mój został oddalony, ponieważ zawarte w nim fakty nie znalazły potwierdzenia w śledztwie.

Zatriumfowała zмова, albo raczej nakaz milczenia.

Odczekałem kilka lat. Aleksander Nikołajewicz Kurpik zmarł śmiercią naturalną, kończąc swój długi nikczemny żywot. Poumierali także inni, ostatni zabójcy osadników. Sytuacja prawna niejako uprościła

się. Skierowałem więc w 1998 roku pismo do Obłastnoej Prokuratury w Grodnie prosząc o wznowienie postępowania w sprawie ludobójstwa osadników z Budowli i Lerypola. Stwierdziłem, że posiadam dodatkowe dowody tej zbrodni, to znaczy nagrane przeze mnie na taśmie magnetofonowej relacje świadków narodowości białoruskiej. Zastrzegłem jednak, że ujawnię nazwiska i adresy tych świadków, gdy prokuratura wyrazi zgodę na ich przesłuchanie w obecności mojej i przedstawiciela ZPB.

Czekając na reakcję Obłastnoej Prokuratury, zastanawiam się jaka będzie teraz jej odpowiedź. Możliwości jest wiele.

Dziś, starając się jedynie o satysfakcję moralną, zastanawiamy się dlaczego doszło do takiej tragedii, czy dojść musiało? Czy osadnicy mieli szansę uniknąć rzezi, czy mogli obronić się? Wielu z nas nurtują takie pytania. Aby znaleźć odpowiedź chociaż na część z nich przenieśmy się wspomnieniami do naszych osad, przyjrzyjmy się ówczesnej sytuacji międzynarodowej.

Trzy nasze osady

Na Grodzieńszczyźnie, w gminie Żydomla, istniały trzy osady wojskowe, posadowione nad rzeką Kotrą. Powstały one w 1922 roku na ziemi księcia Konstantego Czetwertyńskiego, wykupionej przez rząd polski. Położone blisko siebie, stanowiły jeden, wspólnie funkcjonujący organizm.

Największą osadą, niejaką centralną, była Budowla zamieszкана przez dwudziestu osadników. Mieściła się tu szkoła podstawowa, dom ludowy, mleczarnia, sklep oraz filia Kasy Stefczyka. Dwie pozostałe osady Lerypol i Rokicie były znacznie mniejsze od Budowli.

- Obecnie na obszarze, zajmowanym niegdyś przez wymienione trzy osady, znajduje się kołchoz o nazwie „Droga do komunizmu”.

Osadnicy, z wyjątkiem kilku starszych wiekiem oficerów, stanowili szarą frontową brać legionową, najczęściej z ochotniczego zaciągu w 1914 roku. Uwierzyli, jak wielu

innych Polaków, że zaistniała szansa odzyskania niepodległej ojczyzny po latach zaborów. Mieli szczęście, przeżyli czas krwawych zmagañ wojennych, doczekali niepodległej Polski. Osiedlając się na swoich skrawkach ziemi z zapalem rozpoczynali nowy rozdział życia. Pracowici, kontaktowi, pełni młodzieńczej jeszcze fantazji wnieśli między zaścianki szlacheckie i okoliczne wioski białoruskie nowy, pionierski sposób życia i gospodarowania. Wolni od uprzedzeń, żenili się ze szlachciankami i Białorusinkami. Przywozili również żony z Polski centralnej. Po kilkunastu latach ciężkiej, mozolnej pracy i licznych wyrzeczeniach doprowadzali swoje gospodarstwa do rozkwitu.



Legionista Jan Tomczyk

Wśród osadników było wielu ludzi posiadających zdolności organizacyjne i predyspozycje do pracy na urzędach. W miasteczku Skidel kapitan Stanisław Nowak był burmistrzem, a major Adam Machnowski skarbnikiem Kasy Stefczyka. Na urzędzie w

KRESOWE STANICE

Grodnie pracował Jan Górnicki, a w Żydomli chorąży Gold.

W Lerypolu miał posiadłość generał Antoni Szylling. Pełnił jeszcze służbę wojskową, a jego majątkiem zajmował się rządcą Józwicki. Generał często przyjeżdżał do Lerypola, przywożąc z sobą różne nowinki gospodarcze. U niego pojawiło się na osadzie pierwsze stado krów wysokomlecznych rasy holenderskiej. Za przykładem generała poszli inni osadnicy. Mleko sprzedawane w miejscowej mleczarni znacznie zwiększało dochodowość gospodarki.

W czasie krótkotrwałych odwiedzin generał zawsze znajdował czas na spotkania i pogawędki z osadnikami. Zwykle nie omijał domu Stanisława Szuby. W czasie gdy mężczyźni wspominali przeżycia frontowe, młoda i energiczna Marianna Szubowa potrafiła szybko przyrządzić ulubioną przez generała potrawę.

Praca na osadach była zbyt trudna dla dwojga małżonków, posiadających liczne małe dzieci. Radzono sobie poprzez wprowadzanie mechanizacji i najmowanie ludzi do pracy.

Każdego roku pojawiały się w gospodarstwach osadników coraz to inne i nowsze maszyny rolnicze.

Z zatrudnieniem siły najemnej nie było żadnych kłopotów. W całej Polsce wsie, zubożone wojną i kryzysem światowym, cierpiały na nadmiar rąk do pracy. Bardzo często osadnicy zatrudniając ludzi z biedniejszych rodzin białoruskich dawali im szansę na przetrwanie przednówku i możliwość zdobycia ziarna na wiosenne zasiewy. Później Sowietci głosili inną filozofię. Pracę najemną uznawali za rzecz karygodną, ponieważ towarzyszył jej wyzysk najmowanego pracownika. W warunkach społecznej własności pracownik nie był wyzyskiwany, bowiem jako współwłaściciel miejsca pracy niejako pracował u siebie.

W latach dziewięćdziesiątych krążąc po wioskach białoruskich słuchałem wypowiedzi byłych „parobków”, a obecnie emery-

towanych kolchoźników. Nie padło ani jedno złe słowo o osadnikach. Powszechnie chwalono dobre traktowanie, solidne wynagrodzenie i dobre wyżywienie. Żyjący jeszcze Iwan Dzienisiewicz z rozrzewnieniem wspomina pracę u Tokarza, który traktował go jak członka rodziny. Tamte lata są dla Dzienisiewicza najmiłszym wspomnieniem. Dobrze mówiono o Szubie, Krupie, Klęku, Górnickim i innych. Nawet Bazelik, największy w okolicy zbój i złodziej, wydał dobrą opinię.

- Pawlikowski był solidnym i pobożnym człowiekiem - powiedział - w każdą sobotę wyłożył na stół pieniądze za robotę, grosza nie urwał, podziękował za wykonaną pracę i zawsze powiedział „Z Bogiem”.

- Skoro osadnicy byli dobrymi, solidnymi ludźmi - pytam moich rozmówców - to dlaczego dokonano takiej rzezi? Nie udzielili konkretnej odpowiedzi. Do tej pory nie wiedzą jak się rozwijała i jak była napędzana sowiecka machina dywersji i zagłady. Sowiecka propaganda przez długie lata głosiła złe opinie o polskich panach, osadnikach i „bielopolakach”, kształtując poglądy i mentalność radzieckiego człowieka.

Należy wspomnieć, że osadniczki, żony byłych zasłużonych żołnierzy, poświęcały dużo starań i pracy społecznej, aby życie na osadach stawało się lepsze i łatwiejsze.

Panie Machnowska i Goldowa organizowały kursy racjonalnego gospodarowania, połączone z konkursami na najlepsze uprawy warzyw i ogródki kwiatowe. Moja mama z dumą wspomina, że w 1936 roku była wyróżniona za uzyskanie dorodnych pomidorów.

Do charakterystycznych postaci wśród osadniczek należała pani Szyllingowa. Ta sympatyczna drobna kobieta, tryskająca energią, na stałe mieszkała w Warszawie. Jednak, skoro tylko przyjechała do Lerypola na wakacje, natychmiast zabierała się do gospodarowania wdrażając swoje, oryginalne koncepcje.

Kiedyś mąż zastał ją na polu, gdy zatrudnionym tam robotnikom udzielała cennych wskazówek. Generał starał się wytłumaczyć żonie, że mężczyźni wiedzą dobrze jak mają pracować i nie ma potrzeby dyrygować nimi. Robotnicy przysłuchiwali się małżeńskiej sprzeczce. W pewnym momencie podekscytowana generałowa zwróciła się do męża z długim monologiem, wygłaszanym w języku francuskim. Traf zrządził, że jeden z robotników zna język francuski, może nie tak dobrze jak generałowa, ale słownictwo brukowe miał lepiej opanowane niż ona. Słyszając ewidentne błędy w tym słownictwie bezwiednie poprawił kobietę.

Generałowa spojrzała na robotnika zaskoczona.

- A co? Zna język francuski? - zapytała.

- Pracowałem kilka lat we Francji.

- I rozumiał wszystko to, co ja mówiłam?

- Zrozumiałem.

- A to świntuch! A to świntuch! - zawołała generałowa i nie tracąc rezonu stwierdziła, że taki człowiek światowy, który zna język francuski, nie może pracować na polu przy kartoflach. Od dziś będzie ogrodnikiem!

- Ale pan Jóźwicki nie prowadzi ogrodnictwa i nie potrzebuje ogrodnika - protestował wyróżniony robotnik.

- Od dziś będzie potrzebował! - zawyrokowała generałowa. - Musimy posadzić dużo krzewów ozdobnych i o kwiaty trzeba zadbać!

W niedzielę, po całotygodniowej pracy, osadnicy zaprzęgali do bryczek i wozów dorodniejsze konie, zakładali koniom strogą uprzęż i z całą rodziną jechali do kościoła w Żydomli. Do zwyczaju należało, aby po mszy świętej wstąpić do Pionułowicza, który prowadził w Żydomli sklep z wyszynkiem. Kobiety piły lemoniadę, dzieci dostawały cukierki i obważanki, a mężczyźni wspominali przeżycia wojenne, bądź dyskutowali o polityce.



*Antoni (z lewej) i Lucjan, synowie osadnika J. Tomczyka
1937 r.*

Wspominano w owym czasie przygodę Wawrzyńca Klęka, który na wojnie z bolszewikami obsługiwał ckm. Na bronionym przez Polaków odcinku frontu bolszewicy ruszyli do skoncentrowanego natarcia. Po linii podano legionistom rozkaz wycofania się. Rozkaz nie dotarł do stanowiska ckm-u. Klęk widząc przed sobą nawałę wroga siekł z ckm-u bez przerwy. Zabito mu pomocnika. Zszokowany Klęk strzelał z pełną determinacją. W pewnym momencie atak bolszewicki załamał się, a Polacy poderwali się do kontrataku. Bohaterski cekaemista został uratowany, a następnie odznaczony za powstrzymanie natarcia bolszewików.

Niektórzy, dowcipkujący sąsiedzi, mówili, że bohaterem stał się zupełnie przypadkowo.

W Budowli organizowane były bale składkowe, na których bawiono się do białego rana. Niektóre bale połączone z loterią fantową. Uzyskiwany dochód przeznaczany był na cele obronne, lub dobroczynne. Doroczne dożynki zawsze miały tu uroczystą oprawę.

Dorastały dzieci. W Budowli zbudowano szkołę, zatrudniono trójkę nauczycieli. Kierownik szkoły Stanisław Misiak był artystycznie uzdolniony, grał na skrzypcach i ładnie śpiewał. Pod takim kierownictwem dobrze funkcjonował teatrzyk szkolny, który wystawiał programy okolicznościowe i każdego roku tradycyjne jasełka. Wysiłki Misiaka wspierała urocza nauczycielka Sabina Kuleszanka.

Trzecim nauczycielem był matematyk i zapalony turysta pan Piotrowski.

Poza zajęciami szkolnymi zajmował się pracą społeczną organizując wycieczki historyczne dla młodzieży szkolnej i dorosłych. Przy jego pomocy harcerze z większych miast organizowali obozy letnie w rejonie Lerypola i Budowli. Harcerze zawsze zapraszali okolicznych mieszkańców na wieczorek przy ognisku, na którym prezentowali własny program artystyczny.

Harcerze polubili nasze strony, bo okolica była naprawdę piękna. Była tu Siejenka - duży las obfitujący w liczną zwierzynę, grzyby i maliny, Pasięka - uroczy lasek leśniczynowy i nasza, ulubiona rzeka Kotra.



Spotkanie towarzyskie na osadzie

Dzieciarnia z osad dużo czasu spędzała latem nad Kotrą. Na piaszczystych odcinkach brzegów, nadzy i radośni jak w raju, zażywaliśmy kąpiele w kryształowo czystej wodzie. Brzegi wyższe, podmyte nurtem krętej rzeki, były dogodnie do wędkowania. Wzdłuż koryta rzeki, aż do posiadłości Górnickich, ciągnęły się oczka niedostępnych bagien. Uroczysko to nazywano Wołczkowem. Poza zieloną panoramą bagiennej roślinności, tataraku i olch pulsowało tajemnicze życie. Plusk wody i krzyki ptactwa rozbudzały naszą wyobraźnię i ciekawość. Dopiero zimą, gdy gruby lód pokrył powierzchnię bagien, mogliśmy wędrować w głąb Wołczkowa. Niestety, nie było tu już nic ciekawego. Ptactwo odleciało, lód zasłonił zimujących w wodzie jej mieszkańców i tylko liczne tropy zwierząt na śniegu świadczyły, że jeszcze ktoś inny wędruje po Wołczkowie.

Wielką frajdę sprawiał nam syn pułkownika Piotra Iwazkiewicza i brat Longiny Goldowej. Będąc pilotem wojskowym w Warszawie dwukrotnie przylatywał samolotem w odwiedziny. Lądował na polu, blisko Budowli, gdzie zjawiał się natychmiast tłum dzieci ciekawych jak wygląda z bliska aeroplan.

Dzieci dorosłały. Zadziegły się liczne sympatie. Skojarzyło się pierwsze małżeństwo. Dziewiętnastoletnia Stasia Szubówna wyszła za mąż, za Edwarda Nowaka, młodszego brata skidelskiego burmistrza.

Tymczasem z szerokiego świata coraz częściej docierały niepokojące wiadomości. Mówiono o nieuchronności wybuchu wojny. Osadnicy obawiali się wojny, znali dobrze jej okropności. Na spotkaniach sąsiedzkich dyskutowali na ile niemiecka potęga może zagrozić Polsce. Obawiali się także Sowietów, znali ich przecież i nie ufali im. Jednak nie zdawali sobie sprawy, że agresja sowiecka będzie dla nich tragiczna w skutkach.

c.d.n.